

— Pan dyrektor mnie nie poznaje?  
— Panna Marya! No, wie pani, mogę pani przebrania szczerze pogratulować. Miałem już przecie zadzwonić na stróża, aby Mac Guirea stąd wyprowadził. No, no! Niechże pani siada. Dawno pani już u mnie nie była. Z listu pani dowiedziałem się, że Mac Guirea trzeba aresztować. Już to jest wielką zasługą pani, że ten sprytny a chytry rzezimieszek dostał się nareszcie pod klucz. Proszę, niechże pani usiadzie!

Marya zbliżyła się ku niemu, uściśliła podaną sobie rękę i usiadła naprzeciw niego koło biurka.

— Jakże z papierami? Cóż Robertson?

— Właśnie przyniosłam papiery.

— Co?

Dyrektor Jung zerwał się na równe nogi.

— Wszystkie pani przynosi?

— Wszystkie, z wyjątkiem tych, które zostały sprzedane. Ale tamte przecie skonfiskowano, przynoszę więc wszystkie.

— Pozwoli pani, że wyrażę pani naprzód mój szczerzy podziw i uznanie, a następnie radość, że właśnie pani przypadło w udziale doprowadzić do końca to trudne i niebezpieczne zadanie, skutkiem czego ma pani już zapewniony byt na stare lata. Cieszę się serdecznie, że pani będzie mogła teraz porzucić zniechędzoną służbę, do której charakter pani nagiąć się nie może, chociaż z drugiej strony żał mi, że pani chce nas opuścić. Tyle pani już dobrego społeczeństwu wyświadczyła, oddając w ręce sprawiedliwości najsprytniejszych rzezimieszków, że, zaiste, mogłaby pani mieć zupełne zadośćuczynienie w uznaniu, jakie panią ze wszystkich stron spotyka. Szkoda pani; na tem stanowisku, na jakim pani była do dziś dnia, mogła pani dojść bardzo wysoko...

— Ja jednak wolę już zostać zwyczajną sobie śmiertelniczką; agentką dalej być nie chcę i nie mogę. Mniejsza jednak o to. Co zrobić teraz z tymi papierami?

— Trzeba je oddać Mortonowi i to zaraz rano.

— A któż je ma zanieść?

— Najlepiej, jeśli pani sama to zrobi. Pani przeprowadziła całą rzecz iście po mistrzowsku, pani zasługa jest odnalezienie tych papierów, pani się więc należą najszczerze słowa podzięków ze strony Mortona. Nagroda — jak było umówione poprzednio: dziesięć procent od każdego dolara.

— A trzy tysiące dolarów zaliczki?

— Sądzę, że Morton nie będzie się o nie upominał. Przecież, gdyby nie pani, dzisiaj byłby on już bankrutem.

— Ale jabym nie przyjęła podarunku.

— No, to zależy od pani.

— Ja nawet nie chcę, aby on mi płacił nagrodę według przyrzeczenia. Na tak wysokie honorarium nie zasłużyłam. Tożby to przecie wyniosło kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

— Tak nisko ceni pani własne życie. Tyle razy je pani narażała, że można powiedzieć, iż cudem chyba wyszła pani cało. Życie, to kosztowna rzecz, nie dająca się ocenić. Niechże więc pani nie kępuje się skrupułami; pieniądze, jakie pani otrzyma od Mortona, będą pani mogły posłużyć za podstawę do stworzenia sobie spokojnego bytu, a wypoczynek słusznie się pani teraz należy.

Rozmawiali jeszcze dłuższą chwilę o rozmaitych rzeczach w sposób serdeczny i przyjacielski. Dopiero kiedy na niebie zaczął szarzyć świt, Marya opuściła kancelaryę dyrektora Junga i przywoławszy dorózkę, kazała się zawieźć do domu.

Kantor pod firmą Morton i Ska został dopiero niedawno otwarty. Urzędnicy schodzili się jeszcze do biur i dopiero zasiadali przy swoich pulpach.

Morton siedział w swojej kancelarii i zatopiwszy wzrok w żelazną kasę, niedaleko jego biurka stojącą, pogrążył się w niewesołych myślach. Na czoło jego, pofałdowanemu zmarszczkami, rozsiadł się ponury cień, a w oczach błyszczały ognie zdenerwowania i rozpacz.

W tej chwili wszedł służący i oznajmił, że pani Brown czeka w przedpokoju.

— Pani Brown?! — zawołał starowina i zerwał się z krzesła, a podchodząc ku drzwiom i uchylając je, rzekł:

— Proszę, niechże pani wejdzie! Proszę bardzo!

Pani Brown, raczej Marya Golling, weszła pokaszlując do gabinetu. Oczyma wskazała na służącego, a kiedy Morton kazał mu wyjść, usiadła i ozwała się swoim miłym, łagodnym głosem, który brzmiał już zupełnie inaczej, aniżeli głos pani Brown, rzekła lakonicznie:

— Przynoszę panu skradzione papiery wartościowe.

— Pani przynosi papiery?! — zawołał Morton, odchodząc prawie od zmysłów.

— Tak jest — odparła krótko Marya.

I mówiąc to, położyła na biurku plik obligacji, które Morton skwapliwie przeglądał i schował do kasy.

— Więc Wilbert się przyznał? — zapytał, odychając z ulgą.



....Robertson siedział bez ruchu na krześle nad otwartą w podłodze skrytką. Morton poszedł ku niemu i wziął go za rękę — ale ręka ta była zimna jak lód. Grzegorz Robertson już nie żył...

Uśmiech okraślił małe usta Maryi.

— Widocznie pani chowa dla mnie jakąś nową niespodziankę — zapytał Morton, drżąc z ciekawości.

— Tak, i to, niestety, prawdziwą i przykrą dla pana niespodziankę.

— Słucham pani!

— Proszę mi tylko nie przerywać. Opowiem całą rzecz od początku.

I Marya opowiedziała słuchającemu z napięciem Mortonowi wszystko, co zaszło od tej chwili, kiedy jej sprawę oddano.

Ciężki to był cios dla starego bankiera, gdy się dowiedział, jak okropnie podszedł go ten, którego on z biedaka zrobił współwłaścicielem pierwszorzędnej firmy bankierskiej w Nowym Jorku.

Właśnie też renoma firmy wymagała, aby całą tę sprawę zatuszować. Zrobiłoby to bowiem firmie niesłychanie wielką szkodę, gdyby się ogół dowiedział, że jeden z szefów dopuścił się kolosalnej defraudacji. Morton od zmysłów prawie odchodził. W głowie czuł zawrót, jakby mu kto mózg wyjął z czaszki. Trzeba było natychmiast przedsięwziąć

kroki, aby złemu zapobiedz. Przedewszystkiem należało natychmiast udać się do Robertsona.

— Może pani zechce pojechać ze mną do Robertsona? — zapytał.

— Z przyjemnością.

Zajechali przed znaną już Czytelnikom willę. Przy bramie służący oznajmił im, że pan jeszcze się nie pokazał od wczoraj; zaznaczył przytem, że do sypialni nie wolno wejść żadnemu służącemu, dopóki „jaśnie pan“ nie zadzwoni.

Morton jednakże nie dał się tem powstrzymać. Nie zważając na opór służącego, wszedł do willi i udał się wraz z Maryą do sypialni swego współnika.

Stanawszy na progu, poczęli się rozglądać naokoło. Dziwny widok uderzył ich oczy.

Robertson siedział bez ruchu na krześle nad otwartą w podłodze skrytką.

Morton podszedł ku niemu i wziął go za rękę. Ale ręka ta była zimna, jak lód.

Grzegorz Robertson już nie żył.

\* \* \*

Henrykowi Wilbertowi przypa-  
dło w udziale najpiękniejsze zadość-  
uczynienie. Naturalnie, po śmierci  
Robertsona wypuszczono go na-  
tychmiast z więzienia, a stary Mor-  
ton, nie mając ani żony, ani dzieci,  
poprosił go, aby mu dopomógł w dźwi-  
ganiu trudów, jakich wymagało pro-  
wadzenie firmy. Henryk Wilbert za-  
jął w banku miejsce Grzegorza Ro-  
bertsona, za którego tyle wycierpiał,  
tyle doznał hańby i upokorzenia.

Zostawszy z ubożego buchaltera  
współwłaścicielem znakomicie ren-  
tującego się banku, miałże Henryk  
zapomnieć o tej, która jego od hań-  
by, a starą Wilbertową od nędzy u-  
chroniła? Jej przecie zawdzięczał  
wszystko i nieskalany honor i mają-  
tek, a nawet życie. Przytem nie mógł  
pozostać głuchym na głos serca.  
Czuł, że dla tej nieznanym, w du-  
szy jego goreje nie tylko wdzię-  
czność, ale jakieś wyższe, jaśniejsze  
jeszcze i silniejsze uczucie.

Udał się więc na policję do dy-  
rektora Junga, który mu wskazał  
adres Maryi. Odnalezienie jej nie było  
już dlań rzeczą trudną.

A kiedy spojrzął w jasne oczy  
Maryi, płonące pogodą i szczęściem  
jak owe habry polne, przekonał się,  
że miłość, jaka płonęła w jego ser-  
cu, znalazła oddźwięk wzajemny i  
w jej duszy.

Jakżeż promieśniała szczęściem  
milutka twarzyczka Maryi, mając  
już to szczęście, do którego od tak  
dawna tęskniła, ta prześliczna, po-  
godna twarzyczka, która zdołała za-  
chować na sobie znamię czystości,  
choć w zawodzie swym musiała  
była poznać i przedzierać się przez  
cały brud i nędzę życia. I nieraz  
później, kiedy siedząc u boku Hen-  
ryka, bawiła się dziecięciem, jakim  
niebo pobłogosławiło ich małżeństwo,  
wspominała jeszcze o tych czasach,  
kiedy to jako tajna agentka musiała  
patrzeć na całą ohydę życia i świata.

Julia Harrington skończyła tak, jak zwykle  
kończą tego rodzaju kobiety. W dniu śmierci Ro-  
bertsona wypłacił jej Morton pokątną sumę pod  
warunkiem, że będzie milczeć o wszystkim i na-  
tychmiast opuści Nowy Jork. Wyjechała więc  
z Karolem do Paryża, gdzie jeszcze przez parę  
lat bawiła się wesoło, aby potem, wędrując coraz  
bardziej, upaść na samo dno brudu i nędzy.

Karol Harrington skończył w jednym z pary-  
skich więzień.

KONIEC.

